

Płacz na lewicy, histeria na prawicy

24 marca 2016

Bieżące ataki terrorystyczne wzbudziły wiele emocji, u niektórych nawet więcej niż powinny. Federica Mogherini, przedstawiciel Unii do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa, nie wytrzymała presji i popłakała się podczas swojego wystąpienia. Jakkolwiek dziwnie by to nie brzmiało – może i lepiej. Przemówienie czy raczej odezwa do solidarności w obliczu kryzysu i tak nie wносиło do tematu nic nowego. Publiczne okazywanie współczucia krajom dotkniętym atakami terrorystycznymi stało się już sztampą. Nic zresztą dziwnego, europejska myśl polityczna nie jest w stanie rozwiązać tego problemu bez uciekania się do środków spoza jej arsenału. Pozostaje płacz.

Co sprawniejsi szermierze słowa dodają jeszcze jakby na pocieszenie, że to nie uchodźcy. Zdjęcie syryjskiego chłopca trzymającego transparent z wyrazami współczucia ma zmniejszyć dystans między kulturą europejską a światem islamu. Nic podobnego oczywiście się nie dzieje, nawet liberałowie powoli zaczynają czuć obrzydzenie na widok tego teatrzyku. Jeśli ktoś jednak chciałby być jeszcze bardziej „na lewo”, z radością powita nie tylko ten obraz, ale i oskarżenia skierowane w kierunku europejskiej prawicy. Okazuje się, że ruchy nacjonalistyczne, które wykwitły przez ostatnie lata na scenie europejskiej nie są odpowiedzią na kryzys w stosunkach ze światem islamu, ale jego przyczyną. Nam pozostaje płacz – tym razem ze śmiechu. Za mało absurdu? Oddajmy głos Przemysławowi Wielgoszowi z Le Monde Diplomatique: „Szukanie kozła ofiarnego i kreowanie zagrożenia w postaci „obcych” czy „niezintegrowanych” maskuje niezdolność rządów europejskich do przeciwstawienia się prawdziwemu zagrożeniu, jakie stanowi partykularyzm kapitału korporacyjnego.”

Co więc dzieje się na prawicy? Czy tutaj znajdziemy jakieś konstruktywne rozwiązanie? Ależ skądże. Komentatorzy z prawej strony prześcigają się w pomysłach na wojenkę z islamem – zamknąć granice, finansować wywiad, wydalać nielegalnych imigrantów. Rozwiązania sprawdzające się doskonale... w krajach, w których problem jest ledwie zauważalny. Co jednak w przypadku społeczeństw zachodniej Europy, których obraz już dawno przekształcił się pod wpływem legalnej imigracji? We Francji, Wielkiej Brytanii i Niemczech żyją miliony muzułmanów o różnym stopniu asymilacji. Odsiewanie radykałów przez aparat państwowy będzie syzyfową pracą, a rozrost islamskiego fundamentalizmu sugeruje, że selekcja ta nie byłaby zabiegiem czysto kosmetycznym. Wydalenie wszystkich muzułmanów będzie, przy liczbie koneksji gospodarczych i społecznych, które wytworzyły się między dwoma światami, zwyczajnie niemożliwe. Pozostaje histeria.

Przy wzroście nastrojów antyimgranckich sytuacja bardzo łatwo może przerodzić się w „scenariusz bałkański”. Nie sądzę by takie było „założenie programowe” europejskiej prawicy. I tutaj rozwój sytuacji dyktuje bezradność. Na pocieszenie można wskazać, że prawica klarownie oceniła sytuację – asymilacja kulturowa jest problemem, a europejski sen to mrzonka. Jeśli nam mało możemy jeszcze poszukać winnych wśród polityków. Z samozadowoleniem odkrywamy wtedy, że wszystkie regulacje prawne dotyczące prawa imigracyjnego są ich, a nie naszym, dziełem. „Chcieliście to macie”, można by powiedzieć, gdyby nie to, że problem leży tak blisko. A jednak krzyczy się to codziennie w kierunku zachodnioeuropejskiej lewicy przy coraz głośniejszych werblach społecznego ukontentowania. Ten konkurs wznoszenia haseł już dawno wylał się z koryt merytoryki i teraz równie dobrze punktowane są ataki na mniejszości seksualne, feministki, ruch aborcyjny... Można by nawet pomyśleć, że muzułmanie mają z prawicą jakiś nieformalny układ. To wszystko jest jednak wyrazem hysterii. Przy braku realnych rozwiązań dużo łatwiej zaatakować idee, które się nie sprawdziły i doprowadziły do tej patowej sytuacji. Idee, które

atakuje się od lat. Dobrze czujemy się w dyskursie, który już znamy.

Czy czeka nas apokalipsa, kolaps europejskiej cywilizacji czy raczej powolne wymieranie jednej lub drugiej kultury? Nie ma bowiem co się łudzić – nasza racjonalna, liberalna kultura nigdy nie wejdzie w konstruktywny dialog z fideistyczną, konserwatywną myślą islamu. Jeśli wydaje się, że ma to miejsce to tylko przez ustępstwo jednej ze stron. Albo „regresywna lewica” zrzeka się prawa do osądzania postaw moralnych, wystawiając do tego dialogu postliberalną pacynkę zdolną zaakceptować z uśmiechem każdy nonsens, albo też postępowi muzułmanie w imię czasów i rozumu odżegnują się od starych, już nie praw, a porzekadeł zapraszając do debaty z prawie-islamem. To pierwsze rozwiązanie przygotowało grunt pod koszmar ostatnich wydarzeń, to drugie jednak en masse wydaje się obiecujące. Jest tylko jeden problem, który znów dzieli nas na lewicę i prawicę. Kto ma poprzeć muzułmańskich liberałów i sekularystów?

Z pewnością nie uczyni tego konserwatywna prawica sympatyzująca z chrześcijaństwem. Czy w ogóle trzeba komuś tłumaczyć dlaczego? Dużo poważniejszym wydaje się pytanie: Cemu nie zrobiła tego jeszcze cała zachodnioeuropejska lewica? Liberałowie w większej części zaspali i nie chcą się do tego przyznać. Pasywna demokracja narodowa, rozgrywana wśród ugruntowanych przez lata społecznych przemian sprawiła wrażenie czegoś trwałego. Sukcesy europejskiej polityki lat ostatnich nie wynikały z ustroju, było wręcz odwrotnie. Chyba nigdy nie było to bardziej oczywiste niż teraz. A jednak lewica chce dalej w półśnie podążać utartym szlakiem. Łatwiej jest wierzyć w sukces sprawdzonych rozwiązań, niż wymyślać nowe. Jak widać, jest to domena nie tylko konserwatystów. Z drugiej strony rozmaite ruchy prawicowe przyjęły już tyle poglądów swoich adwersarzy, że spaja je obecnie jedynie pojęcie narodu. Może one nadawałyby się lepiej do sprostania temu wyzwaniu? Ale cóż to za tajemnicze i niesprecyzowane

zadanie, które stoi przed europejskimi społeczeństwami?

Jeśli społeczeństwo muzułmańskie ma jakąś szansę na zintegrowanie się w pełni ze światem zachodnim, to będzie musiało zakończyć swój romans z Islamem. Nie oznacza to ateizacji, bardziej reformację czy też rewolucję. Nie jest to ani propozycja nowa, ani nierealna. Aktywnie tematem zajmuje się w Wielkiej Brytanii think tank Quilliam na czele z charyzmatycznym eks-islamistą Maajidem Nawazem. W Holandii ideę radykalnej reformacji promuje somalijka Ayaan Hirsi Ali, a to tylko pierwsze z brzegu przykłady. Dalej jednak największą bolączką, jest nawet nie brak przyzwolenia na działalność reformatorów, ale brak presji na społeczność muzułmańską. Siła nacisku, o której tu mowa jest ustawicznie blokowana przez regresywną lewicę szafującą mitem „islamofobii” oraz konserwatystów, którym albo promowanie liberalizmu w jakiegokolwiek społeczności wydaje się złym pomysłem per se, albo też jakiegokolwiek kontakty z muzułmanami uważają za zło konieczne. Zostaje tylko płacz i histeria.

Autor: Adrian Śmiałek

Kontakt: adriansmialek@gmail.com

Źródło: WolneMedia.net